

Nawet Kutz reżyseruje Fredrę z humorem, niestety, huzarskim

Teatr w rozkroku

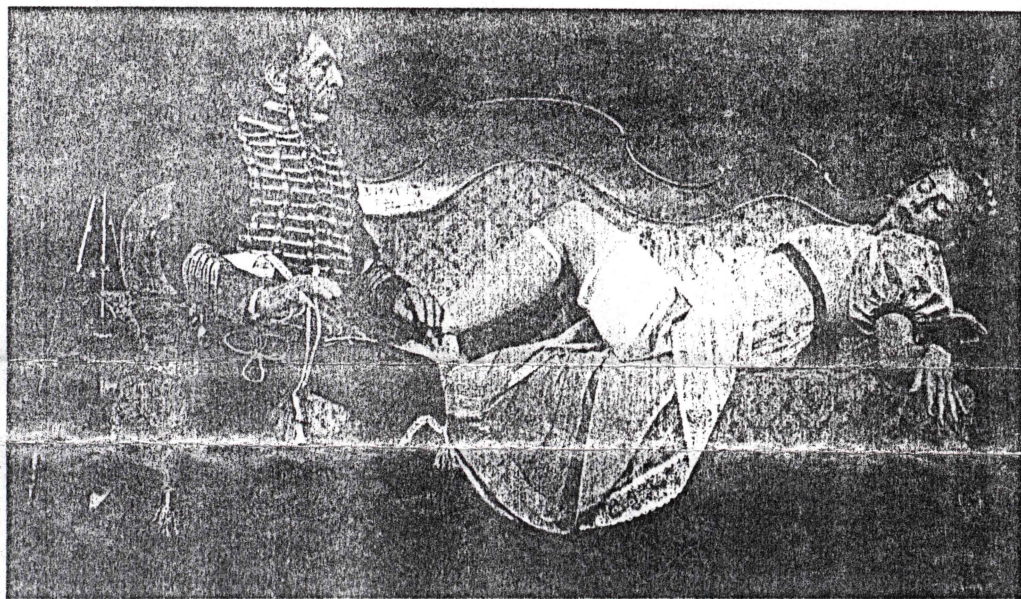
Z górą dwa lata temu w plebiscycie „Polityki” na osobowości telewizyjne zwyciężyli dwa duety: starsi i młodszy panowie, czyli Jeremi Przybora i Jerzy Wasowski oraz Wojciech Mann i Krzysztof Materna. Jeśli w naszym kraju trzyma się jeszcze – w coraz większym rozproszeniu – nieformalny zakon Miłośników Inteligentnego Humoru (MIH), powinien obchodzić rocznicę ogłoszenia tamtego rankingu jako swe organizacyjne święto. O następnej tego typu satysfakcji nie ma co bowiem nawet marzyć w najbliższej przyszłości.

senalów nie rozbroją nawet wszystkie armie NATO). Ani filmy komediowe, gdzie śmiech oderwał się od logiki i ma charakter bądź mechaniczno-surrealistyczny, bądź rodzi się z parodii, czyli pasożytuje na najprostszyskojarzeniach. Ani wreszcie kabaret – królestwo knajaka.

JACEK SIERADZKI

Przyszło mi ostatnio oglądać sporo inscenizacji Fredrowskich, o czym nie pisałem w recenzentkich rubrykach „Polityki”, ponieważ w większości nie były to spektakle zasługujące na poczesną lokatę w dziejach scenicznych komediopisarza. Same teatry nie traktowały ich nazbyt prestiżowo; ot, realizowały powinności wobec szkół i lektur, z reguły przyzwoicie, choć przyzwoitość owa raczej nie przekraczała poziomu poprawności. Spektakle rzadko grywano wieczorami, najczęściej trzeba było leżeć do teatru na dziesiątą, jedenaście rano i przepychać się przez szatnię zawaloną po brzegi czeredami legalnych węgarniowców (teatr zamiast lekcji).

Proszę się nie obawiać, nie będzie tu wylewania łez nad rozwydzeniem młodzieży, strzelaniem z procy do aktorów etc. Na przedstawieniach, o których mowa, towarzystwo zachowywało się całkiem powściągliwie. Może nawet nazbyt powściągliwie! Albowiem w dziełach Fredry są sceny, których, zdawałoby się, zdusić niepodobna; ich siła komiczna zawsze przebiję się przez rampę. Choćby etiuda ze „Ślubów panieńskich”, kiedy zmęczony nocnymi hulakami szlachciora musi prowadzić w salonie grzeczną perorę o urokach wiejskiego życia: bajdurzy płacząc się i klucząc aż zasypia nieledwie w pół zdania. Choćby pisanie listu z „Zemsty”, gdzie porywczy szlachciora i jego dumnowy pomocnik usiłują nieudolnie podrobić pismo panny do kochanka. Choćby splot okoliczności w „Dożywociu”, kiedy to pazerny lichwiarz musi zmienić się w najczulszą opie-



„Damy i huzary” Stary Teatr w Krakowie. Jerzy Trela (Major) i Katarzyna Wanke (Zofia)

kunkę birbanta, od zdrowia podopiecznego zależy bowiem kondycja własnej kasy. Tymczasem na przedstawieniach, które obserwowałem, te mniemane samograje – wykonane nie olśniewająco, lecz porządnie i prawidłowo – biegły w tępej, absolutnej ciszy, nie wywoływały nawet uśmiechu! Jakby na widowni zasiadli cudzoziemcy, nie rozumiejący tekstu, albo jakby widzowie zapomnieli wyjąć z uszu słuchawek walkmanów (co też mi się, owszem, zdarzyło widzieć, ale tylko w postaci pojedynczych przypadków).

Skąd wzięła się ta złyba, nie pozwalająca żywemu wciąż komizmowi przebić się przez rampę? Wolno się obawiać, że przyczyny są całkiem elementarne. Ow komizm polega przecież, mówiąc w najgrubszym zarysie, na kontraście pomiędzy charakterami przedstawianych postaci a sytuacją, w jakiej się one (przez oko-

liczności lub intrygę) znalazły. Widz musi przyrzeć się bohaterom, przyjąć do wiadomości ich pobudki działania, sposób bycia – żeby potem móc uśmiechnąć się, widząc ich pomieszanie, złość, nadrabianie miną. Musi przeto chwilę popracować głową. Minimalnie; w komediowych arcydziełach (a najlepsze sztuki Fredry do takowych należą) niezbędne informacje wleżą do łba właściwie same. Kłopot w tym, że nawet owego minimum nie ma skąd wykrzesać, ponieważ nie ma go na czym wyćwiczyć. Żadnej gimnastyki myślowej nie wymagają śmiechopędne gatunki, jakiego widza otaczają na co dzień. Ani krotki chwile telewizyjne, gdzie rechet poddawany jest zza kadru, a postacie rysowane są grubą krełą, głównie przy pomocy min (dawniej w szkołach teatralnych radzono adeptom, żeby miny zostawili saperom; dzisiejszych ar-

W dzisiejszym teatrze rośnie w dziurę repertuarowa, nieomal równa dziurze budżetowej imię Bauca, obejmująca te sztuki i klasyczne, i współczesne, od fars po komedie wysokie – gdzie śmiech winien angażować, prócz przepony, także pewną (doprawdy niewygórowaną) liczbę szarych komórek. Gdzie humor bywa doprawiony czasem melancholią, czasem goryczką, a w każdym razie rodzi się z obserwacji postaci wartych uwagi – nie kukielek. Teatr od takich dzieł umyka jak od ognia, a gdy już musi się za nie wziąć – choćby właśnie dlatego, że reformatorzy oświaty nie zdążyli skreślić ich z lektur – wtedy wiję się jak piskorz, by z góry zneutralizować martwy odbiór. Ileż widziałem uatrakcyjnięć rzeczzonego Fredry! W jednej z inscenizacji puszczało ostrego rocka między aktami, a akcję poprzedzały z offu wy-

powiedzi aktorów o swych postaciach – takie, jakich udzielają gwiazdorzy w zwiastunach ekranowych hitów. Widziałem też kapelana z „Dam i huzarów”, jak wybiwszy się z niewidocznej odskoczni wyfruwając ze sceny lotem poziomym, tudzież Anielę w „Ślubach panieńskich”, pod którą na wieść o istnieniu rywalki uginały się nogi – i na gnących się kończynach grała już do finału. Nieodmiennie też Albina w „Ślubach” przedstawia się jak przyglupa, co potyka się o dywan i wpada na meble. Wszystko, by najtańszym trybem zabawić smarkaterię, wśród której znalazłoby się przecież na kopy równie nieśmiały i niezdarny kochanek.

Wróciły do łask wyciągane z przedwczorajszego teatru recepty na granie fars (chodzić po scenie zamasyścić, drobnymi krokami, mówić głosem wyższym, niż na co dzień, przerysowywać reakcje i gesty). Arsenał wiekowych, tanich chwytów odnaleźć można dziś na szacownej scenie Starego Teatru w wykonaniu wielkich dam polskiego teatru: Anny Polony, Anny Dymnej. Huzarom też przydzielono grepsy: Jerzy Treła na przykład maszeruje wzdłuż rampy wyciągając i chowając szyję, jak napalony indor na podwórku. (Znakomity artysta, chyba co nieco zażenowany, miał okazję po premierze przeczytać, że jego postać nosi w sobie „rys tragizmu”; zaiste coś bardziej tragicznego, niż taki rodzaj humoru). Zachowanie żadnej z postaci nie musi kierować się ani logiką, ani konsekwencją, ma być śmiesznie i jurnie, albowiem myśl interpretacyjna Kazimierza Kutza wyklada się w zdaniach zanotowanych przez „Życie”: „Ten utwór w gruncie rzeczy opowiada o tym, jak stado kobiet sprzysięgło się przeciw pewnemu bałwanowi, by wyzbyć go majątku. Wszystkie są bez chłopów, podejrzewam wręcz, że ich wydusiły. Naprawdę, ci biedni oficerowie są tak wzruszający...”.

Na zamieszczonej fotografii mamy jednego z tych wzruszających biedaków i dusicielkę in spe. Proszę zerknąć i zwolnić mnie z dalszego opisywania krakowskich szczytów smaku i do-wcipu.

I to Kutz! Artysta, w którego najlepszych dziełach było miejsce na śmiech podszyty myśleniem: w filmie od „Krzyża Wa-

leczyń” po „Zawróconego”, w Teatrze TV w „Opowieściach Hollywoodu” Hamptona czy w „Samobójcy” Erdmanna. Pan marszałek (prosi, żeby go nazywać raczej *feldmarszałkiem*) miewał, owszem, *predykcje* do używania przyciężkawych, dosadnych środków wyrazu; nie raziły one wszakże tam, gdzie użyto ich w jakimś celu (choćby do przekłuwania narodowo-kombatantkich nadęć, jak w „Spaghetti i miecz” w tymże Starym). Tu huzarski humor (i to raczej z tylnych szeregów) służy wyłącznie bezmyślnemu rechotowi – ale i jego nobilitacji: nie może wszak być tandetą coś firmowane przez takie nazwiska na jednej z pierwszych scen w kraju. Pewnie taką dziś mamy normę.

Właśnie ta rodząca się norma to problem poważniejszy niż jedno czy parę mało wyrafinowanych Fredrowskich przedstawień. Boć gdyby w dziedzinie inteligentnego śmiechu działo się dużo i dobrze, takie bezceremonialne dopieprzanie zabytków starego Fredry byłoby może i do zaakceptowania (na zasadzie lekkiej prowokacji). Przez to jednak, że dobrze się nie dzieje, gubią się proporcje. Nie od dziś cały polski teatr stoi w rozkroku, który się, by tak rzec, pogłębia i jest już niebezpiecznie blisko szpagatu. Z jednej strony mamy szczyty: wysublimowane i eteryczne, „kultowe” jak zwykło się mówić, przedstawienia, których twórców łączy z odbiorcami emocjonalna, niemal mistyczna więź (objawia się ona niestety pewnymi kłopotami z racjonalizacją przeżyć, ale także bezbrzeżną pogardą dla wszystkiego, co na te wyżyny się nie wspina). Z drugiej strony rozlewa się zaś niepowstrzymany ocean tandety, nie podlegający żadnej kontroli ani ze strony komentatorów, ani ze strony widowni, której najzwyczajniej brakuje punktu odniesienia.

Winno nim być to, co pośrodku: inteligentny, żywy teatr, ile trzeba zabawny, ile trzeba serio, pozwalający na nieglupie spędzenie wieczoru. Ale on właśnie znika w dziurze repertuarowej – i w blaknących wspomnieniach z czasów, gdy standardy śmiechu wyznaczali Starsi Panowie, a rycerski zakon MHI (przypominam: Miłośników Inteligentnego Humoru) nie rekrutował się wyłącznie z Don Kichotów.